

Andrzej Wierzbicki

## Niepokoje historyka historiografii\*

Chciałbym zasygnalizować trzy grupy problemów. Pierwsza z tych grup dotyczy tzw. aplikacyjności historii (1.), czyli jej przydatności w praktyce dnia codziennego. Druga to kwestia zjawiska, które w pewnej analogii do używanego przez Franklina R. Ankersmita pojęcia „nadprodukcji historiograficznej” można by określić mianem nadpluralizmu teoretyczno-metodologicznego (2.) współczesnej historiografii lub – jeśli ktoś woli – swoistej anarchizacji norm i reguł uprawiania zawodu historyka. Trzecia zaś, to kilka refleksji nad statusem, jaki w polskich środowiskach historycznych mają teoria i metodologia historii oraz historia historiografii (3.)

1. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zacząłem pełnić w Instytucie Historii PAN funkcję zastępcy dyrektora do spraw naukowych, rychło okazało się, że „sprawy naukowe” polegają głównie na zdobywaniu pieniędzy dla Instytutu. Wówczas to bowiem na dobre utrwalił się technokratyczno-ekonomistyczny dogmat, że nauka musi zarobić sama na siebie, a państwo będzie dofinansowywać tylko te jej dyscypliny i dziedziny, które są dochodowe i, jak powiadają urzędnicy, „aplikacyjne”. Paradoksalność polityki naukowej, polegającej na dofinansowywaniu tych placówek, które dofinansowania i tak nie potrzebują oraz deprecjacji (aż do likwidacji włącznie) tych, które bez dofinansowania istnieć nie mogą, uderzyła przede wszystkim w nauki humanistyczne w szerokim rozumieniu tego słowa. Nie wszystkie z nich znalazły się w jednakowo złym położeniu. Nauki społeczne, szczególnie zaś socjologia i psychologia, osadziły się w nowej rzeczywistości dość dobrze, świadcząc cenione przez różne centra polityczne i ekonomiczne usługi z zakresu badania opinii społecznej, marketingu, reklamy itp. Znacznie gorszy los spotkał historię, ponieważ jej „usługi”, takie jak np. kształtowanie świadomości narodowej czy poczucia tożsamości europejskiej,

---

\* Referat wygłoszony na ogólnopolskim konwersatorium *Historiografia polska u progu XXI wieku*, zorganizowanym przez Mazowiecką Wyższą Szkołę Humanistyczno-Pedagogiczną w Łowiczu i Instytut Historii PAN 26–27 kwietnia 2001 r. [Po raz pierwszy ukazał się drukiem w „Mazowieckich Studiach Humanistycznych” 8, 2002, nr 1, s. 95–100. Dziękujemy Staropolskiej Akademii Nauk Stosowanych w Kielcach za zgodę na przedruk tej publikacji. Zapisy bibliograficzne zastosowane w oryginale zostały ujednolicone według zasad stosowanych w „Klio Polskiej” – przyp. red.].

są dla niektórych kręgów decydenckich zbyt abstrakcyjne i, co najważniejsze, nieprzeliczalne na złotówki w rocznym cyklu budżetowym. Ileż to razy w trakcie proszalnych wizyt w Komitecie Badań Naukowych przychodziło mi wysłuchiwać skądinąd szczerych ubolewań nad tym, że historia, niestety, jest tak mało „aplikacyjna”. Nie trafiały do przekonania moje argumenty, że „uaplikacyjnienie” historii może prowadzić do jej upadku, że były już czasy, kiedy postawiona w pierwszym szeregu tzw. frontu ideologicznego miała prestiż nie mniejszy od fizyki jądrowej i miczurinowskich utopii w dziedzinie wielce, jak się wówczas uważało, aplikacyjnego sadownictwa. Myślałem, że nigdy nie ulegnę presji dogmatu o koniecznej „aplikacyjności” jakiegokolwiek zresztą nauki, nie tylko historycznej, ale jeśli już muszę mu ulec, to czy nie warto się zastanowić nad próbą stworzenia wykazu pożytków płynących z historii.

Zastanawiam się na przykład nad tym, czy my jako historycy nazbyt pochopnie nie zdezawuowaliśmy starej, dobrej maksymy o historii jako nauczycielce życia. Zgłaszając swoje profesjonalne *désintéressement* wobec tzw. terażniejszości oraz wobec przyszłości, obwieszczaliśmy, że historia nie daje żadnych gotowych wzorców postępowania i ma wartość poznawczą jedynie w odniesieniu do czasu minionego. Ale przecież wystarczy nieco inaczej spojrzeć na funkcje nauczycielskie i na to czym jest owa terażniejszość, by móc potwierdzić prawomocność tej maksymy. Możemy na przykład bez narażania się na zbyt duże ryzyko stwierdzić, że cała wiedza o społeczno-kulturowych aspektach otaczającego nas świata ma charakter historyczny. Wszak przyszłość jeszcze nie zaistniała, a terażniejszość to tylko pewna nasza kategorialna, chciałoby się rzec, świadomość trwania. To czas subiektywnie zatrzymany wbrew fizykalnej regule jego nieprzerwanego biegu, to nieistniejący łącznik między nieistniejącą już przeszłością a niezaistniałą jeszcze przyszłością. „Terażniejszość” wypełniają więc rzeczy, o których możemy powiedzieć, że niedawno jeszcze były (choć to „niedawno” może być bardzo rozciągle) i które ze stosunkowo dużym prawdopodobieństwem będą istniały w najbliższej przyszłości. Owe rzeczy to nic innego tylko warunki, w jakich są osadzone nasze działania, historia zaś, będąc wiedzą o tych warunkach, umożliwia po prostu optymalizację tego co „współcześnie” robimy. Przytoczony tu wywód nie jest bynajmniej oryginalny, warto go jednak ciągle przypominać wobec prób wmańwania historii jej niepraktyczności i „nieopłacalności”.

Historycy od dawna już upatrywali swojego zadania w poszukiwaniu jak najadekwatniejszego, czy też „obiektywnego”, jak się to czasami mówiło, obrazu rzeczywistości. Byli oczywiście tacy, którzy świadomie bądź nieświadomie sprzeniewierzali się tej dyrektywie, nie zmienia to jednak faktu, że królowała ona i nadal króluje w kanonie zasad profesji historycznej. Co więcej, wydaje się, że nasza epoka jeszcze bardziej wyraziła jej potrzebę.

Obok niewątpliwej przesady co do skali całości zjawiska można odnaleźć sporo racji w niepokojach Jeana Baudrillarda głoszącego, że postmodernistyczną epokę

cechuje wypieranie rzeczywistości „spontanicznej” przez rzeczywistość wirtualną, symulowaną i w znacznej mierze tworzoną na zamówienie. „Wydarzenia” stają się na przykład kreacjami mass mediów, a nie częstkami tego, co naprawdę „spontanicznie” zaistniało. Analogia do historiograficznego konstrukttywizmu, który w swojej skrajnej postaci głosi, że fakty to kreacje tworzone w istocie przez historyków, jest w tym wypadku dość myląca. „Konstrukty” wychodzące z warsztatów profesjonalnych dziejopisów są bowiem wyprodukowane przy zastosowaniu metodologicznych dyrektyw, z których nadrzędną jest wspomniana wyżej reguła jak największej adekwatności w stosunku do świata rzeczywistego. Nie ważne przy tym, czy jest ona utopią czy też nie. Ważne, że jest normą. „Konstrukty” wirtualne (symulacra) natomiast reguły tej nie uznają, a często wręcz są jej otwartym zaprzeczeniem. Oczywiście takie elementy pseudorzeczywistości, jak np. wioski potiomkinowskie nie są bynajmniej wynalazkiem naszych czasów, jednak siła współczesnych mass mediów potrafi urealnić każdą fikcję. Czy zatem, jeśli wizja wirtualnego gwałtu dokonywanego na naszej świadomości historycznej miałyby się spełnić, na światło dzienne nie zostanie wydobyty zupełnie nowy aspekt aplikacyjności historii jako strażniczki „rzeczywistości prawdziwej”? Czy historycy staną się swego rodzaju czyścicielami coraz bardziej zaśmiecanego przez mass medialne „wydarzenia” świata? Być może tak będzie, ale taka aplikacyjność nie spotka się przecież z łaskawością tych, którzy będą sprawować rządy właśnie dzięki tworzonej na ich zamówienie symulowanej hiperrzeczywistości. I znowu pozostaniemy bez pieniędzy.

Podsumujmy: historia niejako sama przez się jest aplikacyjna i nie ma w tym niczego niebezpiecznego. Jest to aplikacyjność tyleż doniosła, co niewymierna. Natomiast jeśli z historii miałoby się uczynić przedsięwzięcie, które w corocznym bilansie musi wykazywać się przeliczalnym na pieniądze zyskiem, będzie to równoznaczne z jej destrukcją. Tę prostą prawdę dałoby się odnieść także do innych dyscyplin humanistycznych.

2. Zdogmatyzowana w Polsce po II wojnie światowej „oficjalna” teza głosząca, że nauka historyczna może rozkwitać jedynie wówczas, gdy opiera się na założeniach materializmu historycznego i ogólnie marksizmu, ciążyła przez długie lata na naszej historiografii. Prawda, że siła, z jaką dogmat ów oddziaływał na środowiska historyczne w kraju (bo emigracja była na ogół wolna od jego mniej lub bardziej wymuszonego uroku) nie zawsze była taka sama, a patrząc z perspektywy półwiecza stopniowo słabła. Wydaje się jednak, że można zaryzykować tezę, iż aż do lat osiemdziesiątych paradygmat marksistowski wyznaczał u nas normy historii oficjalnej czy też, innymi słowy, historii „pierwszego obiegu”. W każdym bądź razie dopiero w ostatnim dwudziestoleciu poczęto wyraźniej odwoływać się do pluralistycznej koncepcji nauki historycznej, przyznającej prawo współistnienia różnym paradygmatom badawczym. Ciekawe, że nawet spośród tych, którzy model marksistowski uznawali za najbardziej płodny naukowo, padały głosy, że

pluralizm jest zjawiskiem nie tylko dobrym, ale wręcz koniecznym, natomiast monizm teoretyczno-metodologiczny jest dla nauki po prostu szkodliwy. Nie były to głosy zbyt częste, niemniej jednak samo życie przyniosło rozwiązanie. Marksizm, którym legitymizowano utopię komunistyczną, zawiodł. Po tym co się stało w Polsce, a później po rozpadzie „ojczyzny socjalizmu”, nie sposób już było utrzymywać, że uświęcona dotychczas teoria i wysnuty z niej paradygmat badawczy jest jedynym wariantem historii naukowej. Nastąpiła wreszcie faza upragnionego pluralizmu. Czy jednak dałoby się powiedzieć, że przyniósł on środowiskom historycznym poczucie samozadowolenia, a historii oczekiwany sukces?

Nie mogę silić się na opis pełniejszy i szerszy, bo nie prowadziłem w tym zakresie odrębnych badań. Potoczna obserwacja zdaje się jednak upoważniać do tego, by we współczesnej historiografii polskiej wyróżnić przedstawicieli klasycznej historii wydarzeniowej oraz (w ramach tego, co obejmuje się ostatnio mianem modernizmu) epigonów strukturalizmu, funkcjonalizmu i marksizmu<sup>1</sup>. Nurtem tyleż głośnym, co przez swoją programową niedefiniowalność a zarazem amorficznością trudnym do identyfikacji, jest orientacja postmodernistyczna. Neguje ona nierzadko naukowy charakter historii, sytuując ją w obrębie zjawisk świata kultury (rozumianej w tym wypadku jako pojęcie rozłączne z pojęciem nauki), a szczególnie – jak chcieli tego skądinąd już starożytni – w obrębie literatury. Oczywiście do opisu współczesnej historiografii można by zastosować inne wyróżniki i skonstruować zupełnie inną typologię<sup>2</sup>, już jednak ta zdaje się wystarczać do zilustrowania tezy, że pluralizm, czy też nadpluralizm teoretyczno-metodologiczny, może stanowić zagrożenie dla tych kanonów warsztatu historycznego, które utwierdzały nas w przekonaniu o naukowym charakterze historii. Marksistowski monizm ciążył nam bardzo, dawał jednak luksus myślenia o historii jako o nauce. Pluralizm może natomiast spowodować prawdziwy *embarras de richesse* prowadzący do zwątpienia. Innymi słowy, byłoby dobrze, aby pomiędzy poszczególnymi paradygmatami zaistniał jakiś wspólny mianownik oraz pewien rodzaj logicznej korespondencji. Gdyby tak na przykład zapanowała zgoda co do tego choćby, że historia przy wszystkich swoich osobliwościach jest jednak nauką. Ale może nie warto zabiegać o naukowy status historii i lepiej uznać jej przynależność do świata kultury? Zdaniem Franklina R. Ankersmita takie rozstrzygnięcie czyni bezpodstawnymi wszelkie pytania o użyteczność i cele przyświecające historiografii. Można pytać o korzyści płynące z nauki i polityki, ale pytanie o użyteczność

<sup>1</sup> Opieram się tu w znacznej części na obserwacjach zawartych w: A.F. Grabski, *Kształty historii*, Łódź 1985, s. 101–122.

<sup>2</sup> Na przykład opartą na ostatnio dość silnie akcentowanym w literaturze przedmiotu przeciwstawieniu historiografii modernistycznej i postmodernistycznej (antymodernistycznej). Ostatnią ze znanych mi publikacji polskich, która wychodząc z tego przeciwstawienia daje rozbudowaną typologię modeli współczesnej historiografii, jest: A. Radomski, *Kultura – tekst – historiografia*, Lublin 1999, s. 15–73.

kultury, a w tym historii i świadomości historycznej jest dlań w ogóle pozbawione sensu i należy do tzw. pomyłek kategorialnych (*category mistake*)<sup>3</sup>. Czym więc jest historia? Nad kwestią tą należy się stale zastanawiać, jakkolwiek tak modny u nas ostatnio „aplikacyjny” sposób myślenia nakazuje, by przy jej rozstrzygnięciu mieć na względzie fakt, że Ministerstwo Kultury jako sponsor jest relatywnie uboższe nawet od Komitetu Badań Naukowych. Jeśli jednak odłożymy żarty na bok, to warto byłoby pomyśleć co zrobić dla polepszenia bytu historii.

3. Wśród historyków polskich nierzadkie jest przekonanie, że metodologia historii i historia historiografii – dwie dziedziny, których nie da się skądinąd uprawiać rozłącznie – to swego rodzaju instrumenty infiltracji ideologii i polityki do nauki historycznej. Doświadczenia doby PRL mogły sprzyjać ugruntowywaniu się takiego stanowiska, jednak dziś, w dobie uświęconego pluralizmu, powinno być ono uznane za anachronizm. A przecież nadal wielu historyków nie kryje swoich metodologicznych fobii, tracąc z pola widzenia na przykład to, że od historii historiografii o wiele doskonalszym narzędziem wspomnianej infiltracji była choćby historia polityczna. Może więc u źródeł całego zjawiska leży również pewien rodzaj lenistwa intelektualnego i swego rodzaju petryfikacja czy też rutynizacja naszej profesji?

To, że nasze środowisko jest skłonne traktować metodologię i historię historiografii dość pobłaźliwie, stawia naukę historyczną w sytuacji niekorzystnej wobec innych dyscyplin humanistycznych, rywalizujących z nią (nie bójmy się użyć tego słowa) w wyścigu do, coraz uboższej dla wszelkiej zresztą nauki, państwowej kasy. Czy nie stało się tak, że podczas kiedy my dystansowaliśmy się od metodologii socjologia, psychologia społeczna, językoznawstwo czy literaturoznawstwo rozwinęły swoje teoretyczne zaplecze i dziś potrafią o wiele lepiej od nas wykazywać swoją społeczną niezbędność? Niestety, nie zawsze umiemy bronić statusu uprawianej przez nas dyscypliny, nie zawsze umiemy powiedzieć na czym polega jej naukowość, czy też, jak chcą niektórzy, przynależność do strefy kultury. A przecież to właśnie teoria historii i historia historiografii dostarczają podstawowych w tym zakresie odpowiedzi.

Skala problemu wykracza jednak daleko poza aspekty czysto finansowe. Przejście od monizmu do pluralizmu paradygmatów badawczych zachwiało dotychczasowym instrumentarium pojęciowym historyków. Wielu nauczycieli, w tym również akademickich, nie potrafi na przykład orzec, czy nadal należy posługiwać się takimi terminami, jak: klasa społeczna, siły wytwórcze, konflikty klasowe, rewolucja, postęp, reakcjonizm, wielu nie wie, czy powinno się mówić o jednym procesie historycznym (monolinearyzm) czy też o wielu procesach historycznych (polilinearyzm), a niemal wszyscy, chcąc nie chcąc zmuszeni do

---

<sup>3</sup> F.R. Ankersmit, *Historiografia i postmodernizm*, w: *Postmodernizm. Antologia przekładów*, oprac. i przedm. R. Nycz, Kraków 1997, s. 149.

obserwacji polskiego życia politycznego, stracili orientację co do tego, czym jest konserwatyzm i liberalizm, prawica i lewica, a nawet – rząd i opozycja. A jak do tego wszystkiego mają się choćby Braudelowskie kategorie długiego trwania, koniunktur i wydarzeń? Pojęcia nakładają się i mieszają wzajemnie, a wszystko to prowadzić może (i jak się wydaje prowadzi) do renesansu nigdy skądinąd nie wygasłej historii idiograficznej („wydarzeniowej”). Monizm był kagańcem nauki, dawał jej jednak iluzję uniwersalistycznej spójności. Pluralizm rozbił ową spójność, a uzupełniony swego rodzaju postmodernistyczną swawolą intelektualną, jak gdyby zanarchizował dawny, uporządkowany świat pojęć historycznych. W każdym bądź razie zatarciu ulega granica między dyletantyzmem a profesjonalizmem. Odejście od profesjonalizmu coraz częściej staje się postulatem „nauki nowej” – wolnej od dotychczasowych konwencji (po co nam np. Centralna Komisja do Spraw Stopni i Tytułu Naukowego?). Do rangi jedyne go probierza naukowości urasta wolny rynek. Kryteria nauki historycznej zaczynają wyznaczać specjaliści od popytu i podaży. I tak pluralizm prowadzi nas do monistycznego arcykryterium nauki, jakim jest jej dochodowość, czyli pieniądź. Nie warto mówić, z czym się kojarzy taka dialektyka.

W tej sytuacji teoria i metodologia oraz historia historiografii zdają się być szczególnie potrzebne profesji dziejopisarskiej. Tymczasem w dużej części wyższych uczelni kształcących historyków istnieją one jedynie w formie szczątkowej. Są oczywiście takie ośrodki, jak np. Lublin (zespół Jana Pomorskiego) czy Poznań (zespół Wojciecha Wrzoska), które mogą tu służyć wręcz za wzorce, niestety nie one rzutują na obraz całości. Trudno się zatem dziwić, że stosunkowo niedawno nawet wśród wyselekcjonowanych uczestników studiów doktoranckich nie sposób było znaleźć takiego, który potrafiłby cokolwiek powiedzieć na temat choćby jednej, dowolnie przez siebie wybranej koncepcji dziejów Polski, która została sformułowana w przeciągu ostatnich dwóch stuleci. Nikt nie znał żadnej. Taka bywa wiedza historyków o historii.

Co można powiedzieć na koniec? Jeśli już metodologia i historia historiografii mają budzić niechęć ze względu na swoje jakoby ideologiczne peerelowskie korzenie, to może warto, aby adepci Klio zaczęli uczyć się „historyki”. Może ta nazwa, wprowadzona u nas przez Joachima Lelewela na początku XIX w., a później zaakceptowana m.in. przez Marcelę Handelsmana i wykładającego po II wojnie światowej w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie Stanisława Kościałkowskiego, będzie mniej kontrowersyjna? Pamiętajmy jednak, że obejmuje ona nie co innego, tylko metodologię i historię historiografii.